EPOKA

TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 27 stycznia 1933 R. | NR. 5 (18)

Reportaż z placówek walki o dusze ludzkie

Krzyk nad granicą

„Technokracja“

Nagminne opętanie

Zwiastuny nawałnicy

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki

AUTORZY: STRZELECKA. ŚWIĘCKI. ROGOWICZ. KŁOSOWSKI. WASOWSKI. KORNACKI. KMITA. JAROCIŃSKA. LUKREC.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

»JASNY PUNKT«

W ilustrowanym tygodniku „Światowid" pod tytułem „W Warszawie powstał klub smakoszów", czytamy:

„Na szarem tle konjunktury obecnej — nareszcie jasny punkt. Kto wie: może to punkt zwrotny?

„W Warszawie cicho bez reklamy i agitacji powstał „klub smakoszów".

„W okresie ograniczania się do najprymitywniejszych potrzeb życiowych, w okresie rezygnacji z wzlotów ducha i ciała, nagle — niespodziewany „wzlot nad poziomy", odważny, niepowszedni, w stylu — można powiedzieć — „przedwojennym". Zupełnie tak samo, jak po mroźnej zimie, z szarej, zziębniętej ziemi wyskakuje nagle pierwiosnek".

Po tym poetycznym wstępie następuje historja powstania „wzlotu nad poziomy" vulgo klubu smakoszów, opis wymyślnego dania „z kategorji perfidnych" (sic), poczem zmęczony zapewne erupcją natchnienia literackiego sprawozdawca konkluduje:

„Mógłbym ze sto wierszy wypełnić przepisami rozmaitych potraw „klubowych", nie mogę jednak tego uczynić, gdyż przepisy te w lot rozeszłyby się po Rzeczypospolitej, spowszedniałyby (sic), i „akademja sztuk pięknych kulinarnych" straciłaby swą tajemniczość i aureolą olimpijską".

Istotnie — punkt zwrotny! „Jasny punkt na szarem tle konjunktury obecnej", jak się wyraża nadworny poeta klubu smakoszów.

Pomyśleć tylko z czego się składa „perfidne danie"? Oto ono: „Płat cielęciny santée, na tem móżdżek cielęcy (poety?), na tem grzanka nadziewana pasztetem, na tem pieczarki fruté, do tego kartofle purée i sos maderowy z championami".

Czy nie „wielki repertuar"? Nie jest li-to „wzlot nad poziomy, odważny, niepowszedni w stylu?"

Zaiste trzeba mieć odwagę własnego cynizmu, aby w okresie obecnym pozwolić sobie na niepowszedni w stylu wyczyn natrząsania się z powszechnej nędzy i głodu nękającego mnogie tysiące rodzin.

Ale — czego się nie robi za wierszowe i prawo uszczknięcia porcyjki „perfidnego dania" zakropionego „przednim winem i likworem!"

GORZEJ, NIŻ W CHINACH

Nędza kulisów chińskich, pracujących za grosze i żywiących się garstką ryżu, weszła w przysłowie.

Okazuje się jednak, że jeśli chodzi o jaskrawość przysłowia, malującego nędzę i wyzysk, nie mamy potrzeby sięgać aż do Chin. „Cudze chwalicie, swego nie znacie, sami nie wiecie, co posiadacie". Istotnie, posiadamy w okręgu włókienniczym łódzkim, coś tak wyjątkowego w dziedzinie wyzysku i nędzy, że przysłowie o kulisach chińskich wydaje się strachem na wróble wobec potwornej rzeczywistości naszej.

W Łodzi odbył się olbrzymi wiec chałupników-tkaczy. Na wiecu tym opowiadali chałupnicy o swej niedoli i odpowiadali rzeczy okropne.

Przy warsztacie ręcznym pracuje cała rodzina od świtu do późnej nocy. Zarobek za ciężką pracę wynosi średnio *kilkanaście* groszy *dziennie* na osobę. Przeciętna płaca za godzinę — 3 (wyraźnie trzy) grosze, przyjmowana jest przez chałupników bez protestu, gdyż każdej chwili grozi im głód wskutek braku zamówień. Aby wytrzymać konkurencję maszyn, chałupnicy muszą pracować taniej, niż maszyna!

Zarobki — o ile są zamówienia — wynoszą od 3 do 6 złotych tygodniowo.

Tak pracują i zarabiają kulisi polscy!

Ludzie ci żyją — jednak żyją. W jaki sposób potrafią dokonać tego cudu?

Opowiadają o tem sami: gotują zupę z ziemniaków na wodzie, a gdy to się wyczerpie, z obieżyn ziemniaczanych. Za parę groszy nabywają w sklepach stare, zeschnięte kromki chleba. To łącznie z zupą stanowi pożywienie w okresie całego tygodnia. Dzieci chałupników nie wiedzą co to jest mleko lub bułka. Gruźlica szerzy się śród chałupników zastraszająco.

SYMPTOMATY OBŁĘDU

Na całym świecie panuje obecnie epidemja niszczenia surowców, których ceny zbytnio spadły. Nastawienie producentów w kierunku niszczycielskim przestało już nawet budzić odruchy zdziwienia lub oburzenia. Niszczenie cennych surowców stało się już zwykłą jakgdyby funkcją produkcji kapitalistycznej.

Nowym natomiast objawem jest przerzucenie się psychozy defetystycznej kapitalizmu na ludzi i dziedziny twórczości, które — zdawałoby się — z aparaturą fabryczno-giełdową nie mają nic wspólnego — na dziedzinę sztuki. Oto w Londynie spalono 100.000 sztychów i rycin z epoki wiktorjańskiej wartości około pół miljona funtów sterlingów. Auto-da-fe sprawiono w tym celu, aby... ceny sztychów z tej epoki nie spadły zbytnio na rynku!

SYMBOLICZNA NOC

Wymownem świadectwem nastrojów panujących w Niemczech są zebrane ostatnio materjały, dotyczące „wykroczeń przeciw bezpieczeństwu publicznemu", jakich dopuszczono się na terenie całej Rzeszy w Noc Sylwestrową.

Mimo aresztowania o charakterze zapobiegawczym 600 osób, rekrutujących się z pośród „elementów wywrotowych" Berlina, naliczono tam:—18 walk ulicznych o charakterze politycznym; 14 bójek „zwykłych", co dało w sumie 3 trupy i 16 osób ciężko rannych. Pozatem *Gross Berlin* był świadkiem 35 zamachów samobójczych, — w tem 15 śmiertelnych. Ogółem miejskie urzędy zdrowia udzieliły nagłej pomocy lekarskiej na ulicach Berlina 300 osobom. Policja rozpędziła 10 „pochodów głodnych", aresztowała 270 sprawców bicia szyb w oknach sklepowych, oraz 890 złodziejów „na gorącym uczynku".

W innych miastach Rzeszy naliczono 9 morderstw o charakterze politycznym. W Thuryngji kilkunastu bezrobotnych odniosło rany w czasie walki z policją. W Halle walka uliczna hitlerowców i komunistów, — 10 osób rannych. W Hamburgu trzech komunistów rannych. W Giessen ośmiu bezrobotnych ciężko rannych (wyjaśnienie: policja zmuszona była do użycia broni palnej), natomiast w Bremie bezrobotni ranili dwóch policjantów. W Wann-Eickel komunista raniony śmiertelnie przez policjanta. W Eberswald agitator komunistyczny zabity przez 16 letniego hitlerowca itd. itd.

KRZYK NAD GRANICĄ

Dyskusja między St. Czosnowskim („Czas na inną postawę") i autorem „Wyrąbanego chodnika" — („Prawdziwe oblicze Śląska") w n-rach 7 i 13 „Epoki" poruszyła mimochodem zagadnienie ważniejsze, niż temat sporu i zasługujące na baczniejszą uwagę. G. Morcinek kończy obronę swojej powieści uwagą, że jeżeli jego powieść szerzy nienawiść narodową, to stanowisko zajęte w jego powieści jest defenzywą w porównaniu z ofenzywą publikacyj niemieckich i czeskich.

Trzeba przyznać, że p. Morcinek ma zupełną słuszność, zwłaszcza jeżeli chodzi o Niemcy. P. Morcinek przytacza zresztą cały szereg nazwisk i tytułów stwierdzających słuszność jego tezy. Możnaby tę listę znakomicie powiększyć. Powstaje jednak pytanie: co stąd wynika? Czy rozdzieranie szat przy każdej okazji wybryków nacjonalizmu sąsiadów dlatego, że nienawiść do wroga w Polsce nie jest tak silna, jak po drugiej stronie granicy, jest obowiązkiem dobrego patrjoty? Czy z faktu, że po tamtej stronie szaleje — nie zresztą w całem społeczeństwie niemieckiem czy czeskiem, lecz w pewnych jego ośrodkach — brutalny, przed niczem niecofający się nacjonalizm, wynika nakaz patrjotyczny budzenia w społeczeństwie polskiem podobnych uczuć i nastawień? I czy to jest słuszna i pozytywnie rzecz biorąc, korzystna i najlepiej do celu wiodąca droga zabezpieczenia się przed wojującym nacjonalizmem sąsiadów i utrwalenia bytu Rzeczypospolitej?

Nie da się zaprzeczyć, że duża część społeczeństwa, powodując się odruchami uczuciowemi, bez przemyślenia tego zagadnienia, rozstrzyga je bezapelacyjnie w sensie twierdzącym. Obserwacja naszego życia publicznego pozwala stwierdzić, że ten nieprzemyślany sąd zaciążył na wielu dziedzinach naszego myślenia, a co gorsze i działania. Wnikliwa analiza zdołałaby niewątpliwie ustalić w jakim stopniu sąd ten zaważył w budzeniu się antydemokratycznych nastrojów i faszystowskich tendencyj, w jakim stopniu przyczynił się do nieoczekiwanego, sprzecznego z tradycją polskiej myśli politycznej zjawiska, że dla części społeczeństwa polskiego ideałem ustroju państwowego stało się państwo policyjne.

Można wpływ tego nieprzemyślanego sądu dostrzec we współczesnem myśleniu politycznem, kształtującem dzisiejszą naszą rzeczywistość, łatwo dostrzec jego ujemny wpływ nawet w formowaniu celów, zadań i metod wychowania państwowego. Widać wpływ jego w życiu, widać co gorsza i w szkole. Tembardziej zatem samo zagadnienie zasługuje na to, by go przemyśleć do końca.

Wydaje się rzeczą zbyteczną na łamach „Epoki" uzasadniać, że podsycanie nienawiści, budzenie wojowniczego nacjonalizmu jest sprzeczne z zasadami moralnemi.

Może jednak jest ono złem koniecznem, może niezadawalając pod względem moralnym, czyni zadość koniecznościom politycznym? Nie bądźmy naiwnymi idealistami — przecież na tylu punktach polityka rozmija się z zasadami moralnemi. Może jest to jedynie obrona wobec ofenzywy nacjonalizmu sąsiadów? Rzecz w tem, że przemyślenie zagadnienia do końca wcale nie skłania do powzięcia podobnego wniosku (w sensie twierdzącym), przeciwnie raczej doprowadza do wniosku, że budzenie nacjonalizmu nie zabezpiecza bytu państwa polskiego, ale go naraża. Rozsądna i dalekowidząca myśl polityczna, istotne zabezpieczenie bytu państwa polskiego widzieć musi w szczerem i bezwzględnem zwalczaniu nacjonalizmu, w zaważeniu całym ciężarem swojej opinji i swoich wpływów na szali stosunków międzynarodowych w celu zapewnienia na tym terenie zwycięstwa w walce z nacjonalizmem. Czy takie stanowisko Polski na forum międzynarodowem może mieć poważne znaczenie bez konsekwentnego i uczciwego stosowania tych samych zasad na własnym terenie?

Powiedzmy sobie prawdę — nie brak u nas polityków, którzy tak sądząc i w myśl tego postępując, łudzą się, że prowadzą zręczną grę polityczną. W istocie łudzą tylko siebie, w najlepszym razie garstkę swoich wielbicieli. Dla wszystkich zaś pozostałych, zwłaszcza dla tych, na których ta zręczna gra jest obliczona, naiwna ich polityka jest równie jasna jak fałszywa gra pacyfizmu „na wynos", uprawianego przez wszystkie państwa przy jednoczesnej wewnętrznej militaryzacji, pacyfizmu dyskredytowanego przez prasę wszystkich krajów. Tak w jednym jak i drugim wypadku są to narowy dyplomacji z czasów przedwojennych, dziś już szczątkowe i bezużyteczne miny i gesty, również konwencjonalne jak maska klowna.

W obliczu nowej, naprężonej do ostatnich granic sytuacji nie czas na martwe gesty, nie czas na wymigiwania się z zajęcia zdecydowanej i uczciwej postawy wobec toczącego się na forum międzynarodowem sporu, co ma decydować o losach jednostek i zbiorowisk — czy układ sił, będący wypadkową ścierających się nacjonalizmów, czy świadomy wysiłek racjonalnego uregulowania współżycia narodów.

Zdawałoby się, że kto jak kto, ale narody, którym dane było cierpieć długoletnią niewolę, zatem dane było w całej pełni odczuć jak niesprawiedliwie i tragicznie układają się międzynarodowe stosunki, jeżeli je reguluje wypadkowa układu sił ścierających się nacjonalizmów — nie powinny wahać się po której stronie sporu stanąć bez matactw i zastrzeżeń.

I jeżeli chodzi o polską myśl polityczną okresu niewoli, nie pozostawia ona w stosunku do omawianego zagadnienia żadnych wątpliwości. Zdecydowana pod tym względem postawa widoczna jest zarówno w poczynaniach emigracyjnych działaczy politycznych jak i w teoretycznych wypowiedzeniach się, a nawet w treści ideowej literatury pięknej. Dziś często nad tym dorobkiem, wyniesionym z ciężkich doświadczeń, przechodzi się do porządku, chrzcząc go mianem „filozofji niewoli". Widzi się w nim nierealne, na romantyczno-mistycznych założeniach oparte koncepcje i przeciwstawia się własne, nieprzemyślane, byle jak sklecone z elementów pochwytanych z różnych, często przeciwstawnych zasad i dyscyplin, chrzcząc je szumnem mianem „narodowej" w jednym wypadku „państwowej", w innym — myśli politycznej.

Konsekwentne i zdecydowane reprezentowanie zarówno w polityce zewnętrznej jak i wewnętrznej zasady racjonalnego współżycia nie jest łatwe, wymaga bardziej skomplikowanych środków niż np. bicie studentów-Żydów, bardziej skomplikowanych, niż teror z jednej strony, a wyroki śmierci z drugiej, — zdaje się jednak nie ulegać wątpliwości, że tylko ta zasada wskazuje właściwą drogę i tylko ona jest wyrazem rozumnego patrjotyzmu.

T. Święcki

PRZEŁOM WSPÓŁCZESNY W ŚWIETLE TECHNOKRACJI

„Technokracja" to najmodniejszy dziś wyraz w Stanach Zjednoczonych. Jest to nazwa, którą przyswoiła sobie grupa wybitnych techników i inżynierów, od dwunastu lat studjująca rozwój mechanizacji produkcji przemysłowej w najbardziej uprzemysłowionym kraju świata. Howard Scott, naczelny technokrata, podzielił się wynikami swoich studjów z publicznością amerykańską w „Harpers Magazine", a wywody jego uzupełnił Wayne W. Parrisch w interesującym miesięczniku „The New Outlook", wydawanym przez byłego gubernatora stanu Nowy York i demokratycznego kandydata na Prezydenta w 1928 roku Alfreda E. Smith'a.

„Stoimy u schyłku epoki — powiadają technokraci — i musimy sobie zdać sprawę z tego, że kryzys światowy, który znaczy koniec tego okresu, źródło swoje ma nie w polityce, lecz w technice".

Technokraci przytaczają przykłady, świadczące o fantastycznej potędze maszyny, wypędzającej człowieka z pracy i zalewającej ludzkość towarami niemogącemi w dzisiejszych warunkach znaleźć nabywców.

Młynarz w starożytnym Rzymie mógł zemleć między dwoma kamieniami młyńskiemi ok. 300 kilogramów mąki w ciągu dwu dni. Nowoczesny młyn w Minneapolis produkuje 6 miljonów kg. dziennie przy pracy jednego człowieka.

W dawnych Atenach szewc musiał stracić pięć dni na uszycie pary butów. Na jednego robotnika w amerykańskiej fabryce obuwia przypada na pięć dni 85 par.

W ciągu pięciu tysięcy lat ręcznego lepienia cegieł nie przekroczono nigdy 450 cegieł dziennie na jednego robotnika, przy 10 godzinach pracy. Nowoczesna cegielnia mechaniczna produkuje 400.000 cegieł dziennie na jednego robotnika.

Ażeby wydobyć 800 ton rudy żelaznej, człowiek musiał cały rok kopać — jeszcze przed stu laty. W 1929 roku w kopalniach Mesabi Range wydobycie obliczono na 20.000 ton rudy na człowieka rocznie. Zamiast 25 ton żelaza produkuje się 4000 rocznie na jednostkę.

Szczytem udoskonalenia technicznego w fabrykach papierosów była maszyna, wypuszczająca 500 sztuk na minutę. Przed niewielu tygodniami skonstruowano nową, która wypuszcza na minutę — 2500 sztuk.

Jeszcze fantastyczniej przedstawia się sprawa w przemyśle elektrycznym, w produkcji żarówek. W 1914 roku wydajność jednego robotnika była 9000 razy mniejsza, niż w 1932. Na zbudowanie maszyny, która w tak niesamowity sposób powiększyła wydajność pracy, wystarczyła robota zaledwie 37 robotników w ciągu sześciu tygodni.

W rolnictwie amerykańskiem jeden robotnik wykonywa dziś pracę 3000 ludzi z roku 1840-go. 208 robotników w fabryce w Milwaukee wypuszcza dziennie 10.000 ram samochodowych. Jeden maszynista przy elektrycznym żórawiu ładuje całą produkcję tej fabryki na wagony ciężarowe. Stu robotników, zatrudnionych normalnie w nowoczesnej cegielni mechanicznej, mogłoby zaspokoić zapotrzebowanie cegieł całych Satnów Zjednoczonych.

Przemysł i rolnictwo produkują coraz więcej. Zdolność produkcyjna człowieka, energja, przypadająca na jednstkę ludzką, wzrosła 9 miljonów razy w porównaniu z początkiem XIX stulecia, powiadają technokraci.

System cen świata dzisiejszego załamał się i musi być zastąpiony czem innem, aby wzrosła zdolność spożywcza ludzkości. Kryzys obecny musiał przyjść. Technokraci twierdzą, że jeszcze w roku 1920, kiedy rozpoczęli swoją pracę, mogli dokładnie obliczyć, iż w 1930 roku nastąpi kryzys. Omylili się o kilka zaledwie miesięcy. Kryzys rozpoczął się w końcu 1929 roku. Zakończył się okres ekspansji przemysłowej i handlowej. 1919 rok był szczytowym rokiem zatrudnienia w przemyśle, rok 1929 — szczytowym rokiem produkcji. Powrót do liczb z tych lat wydaje się technokratom niemożliwy przy stosowaniu środków naprawy, opartych na starych doświadczeniach i naukach.

W ciągu tych dziesięciu lat, między dwoma rekordami zatrudnienia i produkcji, wypieranie człowieka przez maszyny szło szybciej, aniżeli wzrost produkcji, i skończyło się na czternastu miljonach bezrobotnych w Stanach Zjednoczonych i na zgromadzeniu dwurocznych zapasów w składnicach towarowych. Ameryka stoi dziś w obliczu najgroźniejszego niebezpieczeństwa społecznego i gospodarczego, ostrzegają technokraci. Grozi jej bankructwo i powszechny chaos.

Jaka jest droga wyjścia z tego impasu? Gdyby nawet udało się wrócić do produkcji z roku 1929, zaledwie połowa tych 14 miljonów bezrobotnych znalazłaby zatrudnienie. Niema mowy o powrocie do „normalnych" czasów, ponieważ byłoby nonsensem stawiać do pracy robotnika tam, gdzie maszyna wykona robotę lepiej i racjonalnej. Wystarczy dziś praca dorosłej ludności Stanów Zjednoczonych po ***cztery godziny dziennie przez cztery dni tygodniowo,*** aby zaspokoić potrzeby całej ludności. 660 godzin pracy rocznie w przemyśle obywateli od 25 do 40 lat pozwoli na zapewnienie Stanom stopy życiowej, dziesięciokrotnie wyższej od roku 1929.

Rozwiązanie zagadnienia leży w cenach i udostępnieniu konsumcji szerokim masom. Należy dać konsumentowi w rękę dostateczną ilość środków pieniężnych i równomiernie podzielić istniejącą sumę pracy, która da się dokładnie obliczyć. Należy usunąć niezdrową konkurencję, która stała się powodem wzrastającej automatyzacji produkcji w dążeniu do obniżenia kosztów.

Dzisiejszy system cen i podziału pracy konsekwentnie prowadzi do pogorszenia sytuacji, i musi być zarzucony, jeżeli cywilizacja Stanów Zjednoczonych ma być uratowana przed zagładą.

Taki jest końcowy akord dotychczasowych oświadczeń technokratów, którzy zresztą, będąc

prawdziwymi Amerykanami, nastrojeni są optymistycznie i wierzą, że wyjście się znajdzie. Wprawdzie konserwatywny wielki przemysł lekceważy badania technokratów, ale zainteresowali się niemi tacy uczeni, jak prof. Murray Butler i inni. Najżywiej podchwycił ich idee świat pracy. Nędza zagląda do domostw tych, którzy stracili pracę, a później minimum utrzymania; spadły zarobki tych, którym dopisało szczęście i którzy jeszcze pracują. Rewelacje technokratów wskazały źródła nieszczęść i robotnik amerykański spodziewa się, że „business leaders" — przywódcy gospodarczy — we własnym swoim interesie wyciągną naukę z badań i ostrzeżeń technokracji.

Należy dodać, że technokraci, całkiem zresztą słusznie, ograniczają swoje teorje i wnioski do terytorjum Stanów Zjednoczonych. Zadaniem bowiem technokracji jest takie zorganizowanie nowoczesnej cywilizacji, aby była ona w stanie utrzymać się i rozwijać na terytorjum danego kontynentu.

J. S.

ODGŁOSY

NARYSUJESZ ROBOAMA I JEROBOAMA

Nie wiem, czyj to był pomysł, i nawet mam poważne wątpliwości, czy głowa, która to wymyśliła, była całą głową, czy też tylko półgłową — dość że na jednej ze znanych pensyj warszawskich, t. zw. katechetka przy nauce religji kazała dziewczynkom w pierwszej klasie *rysować* to czego się uczą, dla lepszego wbicia sobie w pamięć zdarzeń z historji świętej Starego Testamentu. Pewnego dnia zastałem moją małą siostrzenicę, dziecko o wyraźnych zdolnościach do rysunków, mozolącą się nad arkuszem papieru, pokrytym jakiemiś gryzmołami, gdzie można było rozróżnić sylwety głów, zarysy jakichś postaci i konary drzew. Co ty tam rysujesz, Lila? — zapytałem — i czegoś taka zła? — E, niech mi wujcio nie przeszkadza — odburknęła; — już godzinę się morduję nad tymi królami i nic nie wychodzi — dodała głosem, w który już wkradały się łzy. — Jakimi królami? — i zajrzałem jej przez ramię. — Żydowskimi! — rzuciła i odepchnęła mnie łokciem. Dziecko to jest łagodne, wesołe i jesteśmy w doskonałej zawsze komitywie. — Pluń, Lila, na tych żydowskich królów, powiadam, co ci też do głowy strzeliło? Przecie zawsze tak lubisz rysować głowy pań i... Nie dała mi dokończyć: — To zadane na jutro z religji!... Nic wujcio nie rozumie!... Muszę to zrobić! — krzyknęła z zaciekłością, jakiej w niej nigdy nie widziałem. — Pani powiedziała: *„narysujesz Roboama i Jeroboama pod drzewem..."* niech wujcio siedzi i nic się nie odzywa, aż zrobię

Usłuchałem. Siedziałem zdaleka i zacząłem siebie egzaminować: ....Roboam... i jeszcze Jeroboam... ki djabeł? .... co to za znakomitości Starego Testamentu, których ani rusz nie mogę sobie przypomnieć?.... Hm, jak to człowiekowi wychodzą z głowy ważne postacie historyczne — pomyślałem sobie smętnie. — Pod drzewem? ...dlaczego pod drzewem? Patrzałem ze współczuciem na jasną głowę dziewczynki, na ciemne sute brwi, marszczące się teraz w bezradnem napięciu myśli, na zaciśnięte usteczka; widziałem, że ogarnia ją coraz większe zdenerwowanie: odrzucała jeden ołówek po drugim, kredki łamały jej się w palcach, rwała arkusze, z czerwonej stawała się blada i odwrotnie—wkońcu rzuciła wszystko, zakryła twarzyczkę rękoma i znieruchomiała nad stołem. Ogarnęła mnie pasja na to jakieś durne pannisko, dręczące to miłe, pracowite, inteligentne dziecko idjotycznem żądaniem; — podszedłem, przygarnąłem je do siebie: „Liluchna, nie martw się — wytłumaczysz nauczycielce, że to za trudne. No, uspokój się..."

Rozszlochała się teraz nadobre: ....Ja nie mogę... narysować tego... tego... Roboama... i Je... je... rybo... ama... ja mężczyzn... nie potrafię... rysować... tylko panie... buuuu....

Ten płacz zrodził we mnie genjalną myśl. „Liluś, ja ci to zrobię! Mam doskonały pomysł! Dawaj czysty papier i ołówek!" Przez łzy spojrzała na mnie z bezgraniczną wdzięcznością i wnet się uspokoiła. Z niedowierzaniem patrzyła jednak, nachylona nad arkuszem, na moją realizację „zadania z religji". Rysując, objaśniałem: To, to jest drzewo, stare drzewo, o.... — Dlaczego ani śladu liści? — zaniepokoiła się. — No bo stare, suche, Roboam też był suchy i stary, przypominam sobie teraz, miał trzysta lat, a Jeroboam trzysta jeden. — Lila roześmiała się, zachwycona. — A tutaj, pod drzewem, ten grób, ta krzywa linja, to, uważasz, grób tych dziadów... to tak wyglądać może z profilu. Bierz teraz ołówek i pisz sama, co ci podyktuję tu, w miejscu, objętem tą krzywą linją i prostą, oznaczającą ziemię: *„Tu jest pochowany Roboam i Jeroboam, razem, pod drzewem. Niech nikt im nie waży się mącić wiecznego spoczynku"*.

Lila, dziecko bystre, zrozumiała odrazu sens ostatniego zdania i zaśmiewała się teraz serdecznie, zapomniawszy o niedawnej udręce. Dopiąłem swego.

Siedziała teraz u mnie na kolanach i opowiadała mi konspiracyjnie, jak to bywa z temi „zadaniami z religji". Muszka, ze wstępnej, wiesz, ta co u mnie bywa, miała narysować scenę, jak Pan Bóg woła na Mojżesza z ognistego krzaka. Ona mała ale mądra. Mojżesza to nie zrobiła wcale, tylko krzak z płomieni, a nad krzakiem głowę takiego Mikołaja z siwą brodą, jak to na Gwiazdkę — a z pod krzaka sterczą zadarte gołe stopy. Zastanawiałyśmy się we dwie, czy to wypada, żeby Pan Bóg chodził bez butów. Ja mówiłam, że to nic nie szkodzi, że wszyscy wtedy boso chodzili, tylko że tak, jak ona zrobiła, to niewiadomo, czy ta osoba stoi czy siedzi w krzaku. Coprawda, tam nie jest powiedziane, jak to było. Muszka się zmartwiła, ale nic nie wymyśliłmy. Dostała tróję. I wiesz — ciągnęła moja mała „donosicielka", — mnie się czasami zdaje, że ta nauczycielka od religji to ma małego hysia. Powiedz sam. Stefa miała kiedyś zadane „Pierwsi rodzice w raju". Ona bardzo dobrze rysuje i jest śmiała — no, jest najstarsza w klasie. Narysowała drzewo, węża, Ewę z jabłkiem i Adama — całe figury, ona umie. Adam i Ewa mają na sobie skóry zwierząt. To wiesz, co pani powiedziała? Dała jej czwórkę — za te skóry, nie piątkę, jak jej się słusznie należało. Powiedziała, że to nieprzyzwoicie. I sama narysowała Adama i Ewę w długich do ziemi koszulach, zapiętych pod szyję, tak jak się rysuje aniołów, a na głowie im porobiła strasznie zabawne niby czepki nocne, co to podobno nasze prababki nosiły. Stefa nam to potem pokazywała — tośmy się zarykiwały ze śmiechu.

No powiedz, wujciu, — zakończyła — czy to nie bita idjotka? Czy Adam i Ewa mogli się ubrać w raju inaczej niż w skóry zwierząt? Skąd się tam mogło wziąć płótno na koszule?...

Nagle Lila zeskoczyła z kolan i wesołość jej zgasła w jednej chwili. — A co będzie — zaniepokoiła się, — jak nasza katechetka da mi pałkę za twojego Roboama i Jeroboama w grobie?

— Powiesz jej wszystko jak było, i że to mój pomysł. I powiesz moje nazwisko, że jej się kłaniam i zapewniam, że Adam i Ewa przed wygnaniem z raju mieli uczynione przez Boga odzienie ze skór, o czem jest mowa w pierwszych księgach Mojżeszowych — więc Stefa miała rację, nie ona. Powiedz jej również, że ja się specjalnie interesuję metodą nauczania religji zapomocą rysunków i poproszę ją o wywiad dla prasy w tej sprawie. Tem ją ugłaszczesz.

Wacław Rogowicz

POD MASKĄ »MILICJI«

Plan wprowadzenia milicji w Austrji i w Niemczech został odważnie i uczciwie oświetlony przez poczytny dziennik wiedeński „Neues Wiener Tageblatt", w którym czytamy m. in.:

„Tym razem militaryzm przybrał kształt milicji. Dzieje się to w 14 lat po rzezi światowej, w cztery lata po podpisaniu paktu Kelloga i w roku obradującej konferencji rozbrojeniowej. W Austrji i w Niemczech wojskowi szykują się znów w ministerjach wojny do opracowania technicznego, a przemysł wojenny oblicza już znów swe zarobki. Dwie największe demokracje świata, Ameryka i Anglja, obeszły się i obchodzą się bez powszechnej służby wojskowej. Dowodzi to, że nieprawdą jest, jakoby obrona demokracji była zależna od systemu powszechnej służby wojskowej, którą chce się wprowadzić pod hasłem milicji. Fakt, że pod groźbą zbrojeń niemieckich, względnie pod groźbą Papena i Schleichera, zrodził się francuski plan milicyjny, daje dużo do myślenia. Obowiązku jednak powszechnej służby wojskowej domaga się w Austrji i w Niemczech nie naród, lecz mała klika militarystów, a masa znów ulega hypnozie.

Mniejszość militarystyczna, ten wilk w owczej skórze, mówi o milicji jako o rzeczy zupełnie niewinnej, bo mającej rzekomo tylko służyć celom obronnym, ale jest to ta sama metoda, którą stosowała przedtem ta sama mniejszość militarystyczna, zalecając wojnę, jako zdrową dla narodu „kąpiel stalową". Militaryści w Austrji i w Niemczech powołują się obecnie na wzór szwajcarski, dodając jednocześnie, że system milicyjny, panujący w Szwajcarji, musi być oczywiście dostosowany do wymogów i tradycji państw środkowo europejskich, ale w tem właśnie dostosowywaniu leży niebezpieczeństwo, boć pod pokrywką tego frazesu wprowadzić się chce wszystko to do systemu milicyjnego, co było znamiennem dla przedwojennego militaryzmu niemieckiego i austrjacko-węgierskiego.

Innemi słowy grozi teraz kombinacja modnej milicji z wojskiem zawodowem. Może to jest potrzebne Niemcom do szczęścia, ale Austrja miałaby chyba aż za dużo powodów pójść śladami nie Niemiec, lecz naprz. Danji lub Holandji i wyzyskać szanse, dane jej w traktatach pokojowych, t. zn. dać młodzieży austrjackiej możność i pole pracy, a nie karmić jej upiornem, chronicznem hasłem — planem militarystycznym".

NAGMINNE OPĘTANIE

Rekord. Wielkie to i magiczne słowo, symbolizujące może najdoskonalej duszę dzisiejszego świata, szaleńca pędzącego z furjacką, niepowstrzymaną szybkością na łeb na szyję. Czemże bowiem są wobec niego wszystkie kataklizmy dziejowe, czem głód wieluset tysięcy bezdomnych, czem wszelkie zagadnienia polityczne i socjalne, czem nauka, kultura i sztuka, albo wreszcie jakiś tam kryzys! To nic nie znacząca drobnostka, głupstwo w stosunku do tego jedynego, błyszczącego słowa, któremu na imię: rekord. Niech się dzieje co chce, byle szybciej, dłużej, dalej, głębiej, wyżej, mocniej! Czyż może być coś wspanialszego nad krok Nurmiego, coś ważniejszego nad start Kusocińskiego, przy boku Iso Hollo, coś bardziej emocjonującego, jak walka dwu sportowych „potęg", albo coś bardziej porywającego, niż turniej dwu mistrzowskich drużyn, grzmocących swemi „genjalnemi" nogami footbal? Z setek tysięcy gardeł ochrypłych od opętańczego krzyku wydziera się niebosiężny głos: wiwat rekord, wiwat tempo!...

Niemal codziennie prasa brukowa ogłasza coraz to nowe wiadomości o rzadkich, „niebywałych" rekordach w biegach, skokach, rzutach, a nawet, o dziwo, grze na fortepianie. Wszystko żyje pod znakiem rekordu.

Świat śpieszy się. Wszystko leci z błyskawiczną szybkością przed siebie, aby jaknajprędzej stanąć u mety, rozpycha się, brutalnie tłoczy, grzmi, ryczy i tratuje po drodze wszystko, to, co wykwita z najświętszych głębin ludzkiego ducha.

Sport przestał być już drogą wiodącą do piękna i fizycznej tężyzny, a zszedł do roli fetysza. Stał się synonimem marnotrawstwa sił i zbiorowego szału.

Atmosferą tą oddycha młodzież, więc nic dziwnego, że zamiast kształcić swój umysł i uszlachetniać serce, całą swoją uwagę skupia dzisiaj na kwestji, redukującej się do tego, kto komu i gdzie dał gola, i czy było to 0 : 3, czy też 5 : 0. Trudno żądać, by mogło być inaczej, skoro młodzież wabi wciąż jeszcze jaśniejąca gwiazda Nurmich, Tildenów i Kusocińskich, skoro na niezmierzonych boiskach falują rozentuzjazmowane tłumy i grzmią oklaski, witające zwycięzców. Minęły te czasy, kiedy słowo „mistrz" oznaczało napewno Sienkiewicza, Matejkę, Prusa, Chełmońskiego, Reymonta i Żeromskiego. Dziś słowo to oznacza również gibkie, elastyczne „genjalne" mięśnie.

Atmosfera jest duszna, zgęszczana stale przez brukową, łaknącą sensacyj prasę. Oto jeden z dzienników omawia drobiazgowo, jak wielką historyczną chwilę, start naszego „mistrzowskiego" biegacza, rozpływając się w czkawce superlatywów. Czytamy: znakomity, genjalny, chluba ojczyzny, mistrz pierwszy w świecie i t. d., a obok na drugiej stronie: „najszybsza kobieta świata, aczkolwiek zostawiła swe meszty w Ameryce, jednak zwyciężyła bezapelacyjnie". Artykuły, setki, tysiące artykułów, a wszystkie o tem,

jak „najszybszy człowiek świata" żyje, gdzie się urodził, gdzie mieszka, jak spędza dzień i co myśli na przyszłość.

Czyż może być jeszcze coś niedostępnego dla wielkich sław sportowych, a specjalnie dla olimpijczyków? To też rodzi się pytanie: poco ślęczeć w niezdrowych murach szkół, skoro doktorzy praw i filozofji ogłaszają się w „Kurjerkach", artyści przymierają głodem, nie mogąc zdobyć się na całe spodnie, a ci, których szkołą i dyplomem było boisko, gną się od nieprzebranych zaszczytów, zaś o słowo ich ubiegają się wszystkie pisma świata.

Daremnie szukaliśmy zastępów naszej młodzieży, jak to było przed laty, na galerjach teatrów, na przedstawieniach polskich i zagranicznych klasyków. Teatr boryka się z kryzysem, a często nawet stoi pustką, podobny do wspaniałego, bardzo szacownego domu, w ktorym mieszka już tylko tradycja. Nie posiadamy w całym kraju, ani jednej opery, o wysokim, europejskim poziomie, co oznacza wygasający kult muzyki. Księgarnie raz poraz bankrutują, gdyż nikt nie kupuje książek i prawie nikt nie czyta, a w szufladach utalentowanych autorów, których nazwiska już chlubnie zapisały dzieje kultury polskiej, piętrzą się stosy rękopisów, na które niema nabywcy. Literat utrzymujący się z pióra jest u nas rzadkością. Również plastyka przechodzi w Polsce ogniową próbę.

Wyznaczywszy sportowi właściwe, choćby najbardziej poczesne miejsce, należy zawrócić z fałszywej drogi. Przez sport do tężyzny fizycznej i duchowej, ale nigdy do wynaturzenia. Ukazały się już pierwsze jaskółki otrzeźwienia. Oto w prasie pojawiły się zastrzeżenia i protesty. Pierwszy zabrał głos nestor piśmiennictwa polskiego Aleksander Świętochowski, przeciwstawiając się niezdrowej, niesmacznej i głupiej sportomanji. Za nim na łamach „Gazety Polskiej" wypowiedział się w tej sprawie Kaden - Bandrowski. Na artykuł tego ostatniego, odpowiedział znów J. Poniatowski na łamach tegoż pisma. Wyłom zrobiony. Należy tylko w dalszym ciągu iść po tej drodze, budzić zdrowy sąd w społeczeństwie i właściwym rzeczom wyznaczać właściwe miejsca. Wówczas runą paradoksalne fetycze, wnoszące niezdrowy bakcyl rozkładu w zbiorowe życie narodu.

Józef Nikodem Kłosowski

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

ZŁY WYBRYK

Wystąpienie Karola Irzykowskiego przeciwko Boyowi-Zeleńskiemu osiągnęło natychmiastowy skutek, który był do przewidzenia: radość kołtuństwa. Książka Irzykowskiego („Benjaminek") powitana została z entuzjazmem w obozach klerykalnych i nacjonalistycznych. Co za sukurs! Jakie ułatwienie walki z pisarzem, z którym tak trudno dać sobie radę! Cóż za satysfakcja móc swoim ciemnym rzeszom powiedzieć: oto widzicie, do naszej walki z Boyem przyłączył się pisarz z lewicy, radykał, wolnomyśliciel, a to znaczy że nasze racje zdobywają posłuch nawet tam, po drugiej stronie barykady.

I — naturalnie — z tą chwilą Irzykowski otrzymuje tam wielki awans, zostaje uznany za najznakomitszego krytyka w Polsce, za „nieustraszonego" i „niezależnego" pisarza. Można było przemilczać lub lekceważyć jego pracę przez dziesiątki lat, ale skoro przyszedł im w tak przyjemny sukurs, już jest znakomity, nieporównany, genjalny.

Będzie to jedyny skutek wystąpienia Irzykowskiego: chwilowa pomoc udzielona klerykalnej i nacjonalistycznej demagogji.

Tak to jest u nas, taka logika i taka „celowość" działania. Łamać front walki, który powinien być umacniany przez wszystkie siły ideowo pokrewne, dezorjentować opinję, sprzyjać chaosowi pojęć, osłabiać wszystkie ideologiczne kryterja — oto droga nieodpowiedzialnych poczynań, indywidualnych harców i powiedzmy otwarcie — całkowitej bezmyślności.

Znaczenia złego wybryku Irzykowskiego nie przeceniamy. Jest tylko charakterystyczny, świadczy o naszej ideowej degrengoladzie i braku powagi w pracy społecznej. Zasługi Boya są zbyt wielkie, jego działalność pisarska zbyt wspaniała, a wpływ na czytelnika zbyt rozległy, żeby ataki złośliwej histerji mogły mu zaszkodzić. Pisarz tej miary, co Boy, może sobie pogodnie i spokojnie powiedzieć: guarda e passa...

A radość kołtuństwa — mocno przesadna. Sukurs Irzykowskiego to tylko niesmaczny epizod, który szali walki nie przechyli, choćby po stronie reakcji dołożyć jeszcze dziesięciu Irzykowskich. Za mało na jednego Boya.

J. W.

»NAMIĘTNY PIELGRZYM«

Słabem, słabiutkiem echem odzywają się w dzisiejszej beletrystyce polskiej najżywotniejsze sprawy życia współczesnego. Nasi pisarze pracują jakby na uboczu epoki. Mamy kilka nowych talentów, pióra świetne, interesujące, lecz na to, co dziś naprawdę społecznie ważne i doniosłe, pióra te nie reagują. To nie zarzut, to stwierdzenie faktu. Pisarz ma prawo stać zdala od zgiełku teraźniejszości, jeśli to swoje oddalenie usprawiedliwia wartością artystyczną swego dzieła. Może też demonstrować rzeczy wieczyste, niezależne od zmian w życiu ludzkiem największych, niezależne od przełomów obyczajowych, społecznych, politycznych.

Niewątpliwie jednak zyskuje na znaczeniu, wzmacnia swoją rolę i rozszerza swój wpływ, jeśli w dziele swojem daje wyraz sprawom, niepokojącym człowieka dzisiejszego. W dzisiejszej literaturze wszechświatowej mamy całą czeredę pisarzy bliskich i najbliższych życiu współczesnemu, wrażliwych na wszystko, co dzieje się na świecie, dokumentujących słowem artystycznem nową rzeczywistość, albo biorących udział w walce o jej umocnienie i pogłębienie. W naszym zaś świecie literackim panuje pod tym względem — błoga cisza. Jeśli tę ciszę coś przerywa, to tylko nieciekawe, pozbawione znaczenia, nieideowe i najczęściej niekulturalne spory pomiędzy literatami. Tak jakby dzisiejsze, straszliwe i wielkie czasy nie zasługiwały na uwagę literatury. W rzeczywistości zaś jest odwrotnie: to znakomita większość naszych powieści na uwagę nie zasługuje. Z dwóch powodów: nikłości tych rzeczy i przestrze-

ni, jaka dzieli autorów od zagadnień, niepokojów i wielkich pytań dzisiejszego świata.

Słyszymy często ten argument: trzeba pewnego oddalenia, pewnej perspektywy historycznej, żeby dawać dobre, rzetelne obrazy epoki. To przeważnie — wybieg. Gdyby to zawsze był warunek niezbędny, literatura wszechświatowa odtwarzałaby jedynie przeszłość, tymczasem mamy tyle wspaniałych dokumentów epoki, tworzonych bezpośrednio, na gorąco. Ale na to potrzeba bystrego wzroku, dobrej wrażliwości i żywego sumienia, tych wartości u nas tak... niemodnych.

To też szczególne zadowolenie odczuwamy w tych nieczęstych u nas wypadkach, kiedy pisarz „wtrąci się" do życia, usłyszy i odczuje wagę spraw najgłębszych. Zadowolenie takie sprawia najnowsza powieść znanego poety, Anatola Sterna, p. t. „Namiętny pielgrzym" (Wydawn. „Roju"). Motyw zasadniczy — w literaturze nie nowy: dzieje wewnętrzne zabójcy, któremu nie dowiedziono winy, lecz który, po długich udrękach sumienia, sam wymierza sobie sprawiedliwość przez samobójstwo. Jakby nowa odmiana Raskolnikowa, choć wielkie tu zachodzą różnice faktyczne i psychologiczne. Lecz motyw ten został wzbogacony przeżyciami bohatera, które wiążą się mocno z problematami moralno-politycznemi naszych czasów. Sprawa środków walki ideowej i jej celów, zagadnienie rewolucyjnego terroru, kwestje ustrojowe, pytania najbardziej niepokojące i troska o przyszłość najbliższą, problematy moralne par excellence dzisiejsze — wszystko to odzywa się mocnem echem w powieści Sterna. Znajdujemy tu szczerą ambicję ideową pisarza.

Jeśli dodać, że powieść ta utrzymana jest na wysokim poziomie literackim, mimo pewne momenty, które zwykliśmy nazywać sensacyjnemi, uznać tę powieść musimy za poważną i nową pozycję w beletrystyce polskiej.

Jedno zastrzeżenie: autor niepotrzebnie usprawiedliwia się przed czytelnikiem, że tyle miejsca poświęca analizie psychologicznej i wstrzymuje przez to akcję fabularną. Nic to nam nie przeszkadza, bo analiza jest tu niemonotonna, interesująca. Kto szuka tylko „akcji", niech sobie czyta Wallace'a.

J. W.

SAMOCHODEM DO PROSPERITY

Wiele przyczyn złożyło się na to, że Erenburgowska epopeja samochodu *), pisana w ostatnich miesiącach okresu międzynarodowej Prosperity, budzić może w umyśle szerokich mas czytelników refleksje różne od tych, jakie autor pragnąłby wywołać. Opisy straszliwej taśmy, poruszającej się nieprzerwanie śród długiego szeregu pracujących przy niej robotników, taśmy, z której co parę minut zjeżdża nowy automobil do garażu, wzbudzić dziś mogą raczej tęskny żal w sercu niejednego polskiego czytelnika, którego w czwartym roku kryzysu gospodarczego raczy pan wydawca zbiorem skarg na niedawne dobre czasy, na Prosperity, na wyścig pracy... (o ironjo!)

Któż przejmuje się dzisiaj straszliwemi warunkami pracy fabrycznej? Któż nie zamieniłby z radością miljonowych rzesz bezrobotnych na zwierzęta robocze, na których można dopuszczać się bezkarnie wszelkiego rodzaju okrucieństw „mechanizacji", „specjalizacji" i t. p. dobrodziejstw Prosperity? Kogóż stać dzisiaj na luksus uświadomienia sobie faktu, iż „wyścig produkcji", dziesięcioletni bieg kapitalizmu w nieskończoność wzrastających zysków, był bardzo brzydkim okresem dziejów ludzkości? Kogóż wreszcie stać na heroizm odwrócenia się tyłem do „jasnej" Prosperity, a rękami i twarzą do Jutra, które kapitaliści tak trwożliwie ciemnością nazywają?...

Tym, z natury rzeczy, nielicznym wyjątkom, książka Erenburga oddać może nieocenione usługi, jako broń myślowa, oręż najskuteczniejszy przeciwko pracy, jaką daremnie wyczerpuje się większość społeczeństwa, pragnąca zrobić z Jutra nową Prosperity, nowy rozkwit kapitalizmu, — wskrzeszenie trupa. Dla bardzo wielu ludzi dziesięciolecie 1919 — 1929 owiane już jest mgłą tęsknoty — legendy. Ten okres dziejów, rozciągający się między Wielką Wojną a Wielkim Kryzysem, stanowi dla mnóstwa osób jedyną epokę życia, w czasie której było co jeść, gdzie się przespać i zarobić na dzieci i na kino. W takich warunkach zapomina się łatwo o ciemnych stronach tego dziesięciolecia, o jego plamach, które nie powinny się już nigdy powtórzyć. Myśląc o przyszłości, o lepszem Jutrze, kształtuje się je bezwiednie na modłę Wczoraj, które lepsze było od Dziś.

Książka Erenburga rozwiewa w dużym stopniu mgłę urojonej legendy o cudach Prosperity. Autor, niedarmo zwany Sinclair'em Europy, wprowadza nas za kulisy powojennego „wyścigu produkcji", mamy zaś dowodów bez liku na to, że owe kulisy nie są li tylko tworem fantazji autora, lecz zasadniczo wierną podobizną rzeczywistości.

Jak u zarania wszelkich doniosłych zjawisk postępu cywilizacji, taksamo na początku produkcji samochodów mamy idealistę. Filip Lebon, wynalazca gazu przeznaczonego do motorów o wewnętrznem spalaniu, patentujący swój wynalazek w 1799 roku, przemawia w książce Erenburga odwiecznym stylem Don Kichotów: — „Minie 50 albo 100 lat, i każdy obywatel będzie posiadał taki poruszający się o własnej sile pojazd. Inne maszyny usuną nędzę. Moja zwycięży wrogość, powolność, ciemnotę, znużenie. Ciału ludzkiemu potrzeba pożywienia i ubrania. Niema co mówić, — ludzie wkrótce wynajdą maszyny, ażeby wyrabiać chleb, nie uciekając się w tym celu do ciężkiej pracy rolnika. Ale oto człowiek jest syty. Jego duch pożąda doskonałości. Człowiek podróżuje po całym świecie. Nie posiada już ojczyzny. Jego ojczyzna jest wszędzie".

W sto lat później, a w następnym zaraz ustępie książki Erenburga, Emil Zola, po emocjonującej przejażdżce „faetonem bez koni" z Paryża do Wersalu, tak powiada: „Trudno teraz zdać sobie sprawę ze znaczenia potrzebnego wynalazku. Odległości się zmniejszają, a więc automobil jest nowym pionierem cywilizacji i pokoju. Wreszcie, automobil bezwątpienia podniesie dobrobyt..."

Ponad głową Forda, snującego swe „dobroczynne" plany, przeskakuje Erenburg lata przedwojenne i Wielką Wojnę, by już do końca książki rozbijać się autem po różnych drogach i dziedzinach Prosperity. Obok rzeszy bezimiennych bohaterów spotykamy na kartach „Życia Auta" nazwiska tak znane i tak wymowne, jak Hoover, Churchill, Deterding, Matteotti, Rakowskij, wreszcie Citroën, którego zakłady pary-

*) Ilja Erenburg: „10 HP. Życie auta. Wyd. „Roju". Przekład Wł. Broniewskiego. Warszawa 1933.

skie drobiazgowo opisuje autor, szkicując na ich tle proste, bezpretensjonalne, a jakże wstrząsające tragedje życia robotniczego z czasów złotej epoki „wyścigu pracy".

Pengam i Nicaragua, giełda paryska, berliński, lipski i moskiewski bruk, wieża Eiffla z reklamą Citroena, cyfry, sprawozdania, fakty i cytaty, a wszystko powiązane jedną wspólną sprawą rodzącej się nieprzerwanie maszyny, wszystko widziane przez okna aut, które się mnożą i mnożą. Rozmach i tempo. Krwiożercze nacjonalizmy wielkich mocarstw, fascynująca „gra" przemysłowców, polityków i giełdziarzy nieprzymuszenie i poprostu wiąże się i zazębia o tak błahe wydarzenia, jak nprz., że „w jednym z zakładów Citroena, a mianowicie w Saint Ouen w ciągu 9 miesięcy zarejestrowano 1200 nieszczęśliwych wypadków", lub że inny zakład tegoż przemysłowca „wypracował" w ciągu jednego miesiąca 12 tysięcy samochodów, 18 miljonów czystego zysku i 33 urwane przez prasę palce robotnicze... Są to błahostki, oczywiście, — rosną niby skromna trawa na stronicach książki u stóp i w cieniu takich potęg jak kauczukowa polityka Stanów Zjednoczonych, lub jak międzynarodowe walki o naftę. Jedno z drugiem, małe z wielkiem tworzy krajobraz, nastrojowy pejzaż Prosperity.

Jednak co fascynuje w tej książce najbardziej — to jej ukryta treść. Erenburg nie lubi maszyny i przedewszystkiem jej gotów przypisać zło, jakie wyświadcza ona ludziom. Swych „czarnych charakterów" w rodzaju Deterdinga, Hoovera, Citroena, czy plantatora Davis'a nie wini autor, — są oni narzędziem w ręku konieczności. Nawet dla mordercy Lafosse'a i dla „wzorowca" Pepont'a żywi zrozumienie współczujące. Rychło też pozbędzie się pośrednich, ludzkich sprawców zła, by sam — na sam z autem pozostać,— z pra-przyczyną. Książkę tę kończy długi cykl nieszczęśliwych wypadków samochodowych („Drogi").

Piękną książkę Erenburga odkładamy z uczuciem zawodu. Chciałoby się w tej próbie syntezy wpływu auta na życie współczesne dowiedzieć się, jaką rolę wyznacza autor maszynie w przyszłości, w tej lepszej przyszłości, do której wszyscy dążymy. Kończąc swą książkę rozbiciem samochodu, znamiennem, niemal symbolicznem dla całokształtu syntezy, czy chciałby Erenburg powiedzieć, że ludzkość wyrzeknie się wynalazku?

Ale Erenburga już niema, — zostawił nas w szczerem polu domysłów. Długo wraca się z tej książki „do siebie". Broniewskiego - tłomacza odwiedza się po drodze myślą uznania i wdzięczności.

Jerzy Kornacki

ZDROWOTNOŚĆ PUBLICZNA W POLSCE

Według danych Gł. Urzędu Statystycznego w roku 1931 w całej Polsce było 10.600 lekarzy. Rozmieszczenie sił lekarskich w państwie jest nader niejednolite, wówczas bowiem gdy w Warszawie przypada 21 lekarzy na 10 tys. mieszkańców, to w woj. centralnych 3,7, we wschodnich 2, w zachodnich 3.4 i południowych — 4, a w całem państwie — 3.4.

Nadmienić wypada, że w innych krajach lekarzy jest stosunkowo znacznie więcej, aniżeli u nas, tak naprz. w Stanach Zjedn. przypada ich 12.6 na 10 tys. ludności, w Szwajcarji 8,1, w Niemczech 7.6, we Francji 6.2.

Dentystów mamy 2.927. Nierównomierne rozmieszczenie pomocy dentystycznej jest jeszcze bardziej rażące aniżeli pomocy lekarskiej wogóle.

Felczerów liczymy 1.923 wyłącznie w woj. centralnych (78.7%) i wschodnich 21.3%), akuszerek 9.554, z nich w woj. centralnych 49.1%, wschodnich 9.2%, zachodnich 11.7% i południowych 30.0%.

Dość równomiernie rozmieszczone są apteki, których jest 2.076, obsługiwanych przez 4.386 osób personelu fachowego.

Ogółem niesieniu pomocy sanitarnej u nas poświęciło się 29.390 osób płci obojga.

Pomoc szpitalna zorganizowana jest również nader niejednolicie. Wszystkich szpitali (bez wojskowych i samodzielnych zakładów psychjatrycznych) liczymy 693, z czego na woj. centralne przypada 242 (w tem na samą Warszawę 53), na wschodnie 144, na zachodnie 186 i na południowe tylko 121. Szpitale te posiadają ogółem 55.088 łóżek. Prawie połowa łóżek przypada na szpitale samorządowe, skąd wynika, jak doniosłą jest rola samorządów w dziedzinie zdrowotności publicznej. Zpośród dzielnic pierwsze miejsce zajmuje Śląsk, liczący 7.8 łóżek na tysiąc mieszkańców, drugie dopiero miejsce przypada Warszawie — 5.5, dalej woj. poznańskie — 3.2, pomorskie — 3.0, najmniej ich posiada woj. tarnopolskie — 0.6. i wołyńskie — 0.7. Wogóle w całej Polsce przypada 1.8 łóżek szpitalnych na tysiąc mieszkańców, i pod tym względem inne kraje znacznie nas wyprzedziły, tak naprz. Szwajcarja liczy ich 10.1, Niemcy 8.5, Stany Zjednoczone — 7.4, Czechosłowacja — 3.5.

Z chorób zakaźnych, trapiących ludność Polski, pierwsze miejsce zajmuje odra, gdyż na 164.548 wypadków w 59.567 stwierdzono odrę, co stanowi 36.2%, dalej idzie płonica (szkarlatyna) — 29.991 wypadków (18.2%), jaglica — 24.689 (15.0%) błonica (dyftyryt) — 17.074, t. j. 10.4% i dur brzuszny — 10.962 wypadków, co stanowi 7.3%. Na szczęście śmiertelność tych chorób stoi w stosunku odwrotnym do częstości, tak naprz. bardzo wysoką śmiertelność stwierdzono przy gorączce połogowej — 22.4%, sama jednak ta choroba zdarza się stosunkowo rzadko, stanowiąc tylko 0.9% ogólnych ilości chorób zakaźnych. Jeszcze większą śmiertelność, wynoszącą 29.0%, stwierdzono przy zapaleniu opon mózgowych (meningit), ale choroby tej naliczono tylko 0.4% ogólnej ilości. Przy czerwonce śmiertelność wynosi — 16.0%, przy durze plamistym — 6.8%. Najczęściej zdarzająca się odra ma wynik śmiertelny wynoszący — 0.9%.

W porównaniu z innemi krajami Polska ma najwięcej, bo 7.3 zgonów na 10 tys. mieszkańców z przyczyny chorób nagminnych, wówczas gdy Francja 6,0, Czechosłowacja 5,9, Niemcy 4.5, Szwajcarja 2,5 i t. d.

Na uwagę zasługują cyfry, dotyczące Kas Chorych. Okazuje się, że na 100 obowiązkowo ubezpieczenych zachorowań było 179.8, a na 100 członków rodzin — 122,3. Ponieważ na jedno zachorowanie przypada 13 — 16 dni zasiłkowych lub szpitalnych, obowiązkowo zaś ubezpieczonych (w r. 1929, do którego odnoszą się przytoczone cyfry) było 2.277 tys. i członków ich rodzin 2.530 tys., to nie trudno obliczyć, że

wyniosło to, licząc po 15 dni na jedno zachorowanie w przeciętiu, 107.723 tys. dni zasiłkowych lub szpitalnych. Dzisiaj liczba ubezpieczonych (2.189 tys.) i członków ich rodzin (2.572 tys.) prawie pozostała bez zmiany, skutkiem wszakże pogorszenia się warunków mieszkaniowych, odżywiania, higjeny i t. p. Z powodu bezrobocia, liczba dni szpitalnych niewątpliwie wzrośnie znacznie, i nic dziwnego, że Kasy Chorych znalazły się w nader trudnem położeniu i nie są wręcz w stanie wypełnić przyjętych wobec ubezpieczonych obowiązków.

Wśród niemowląt śmiertelność jest wywołana rozmaitemi przyczynami, zależnie od miejscowości. W Warszawie najwięcej ofiar zabierają choroby narządu oddechowego — 33.6% ogólnej ilości zgonów, wątłość wrodzona — 23,1%, nieżyt kiszek i żołądka — 20.0% i t. d.

Ośrodków zdrowia, prowadzących walkę z różnemi chorobami, liczono w Polsce (w r. 1931) ogółem 180, z tego na woj. centralne przypada 84 (46.7%), na wschodzie 25 (13.9%), na zachodzie 12 (6.7%) i południowe 59 (32.7%).

Na uwzględnienie zasługują jeszcze zakłady psychjatryczne. Ogółem istniało w Polsce 48 tego rodzaju instytucji, w których było 14.414 chorych (na 1 stycznia 1930 r.), z tej liczby na woj. centralne przypada 3.1 chorych na 10 tys. mieszkańców, na wschodnie — 0.5, na zachodnie — 16.8 i na południowe 3.7. Z cyfr tych wynika, jak wielkie są jeszcze w tej mierze potrzeby do zaspokojenia.

Z. Kmita.

AFORYZMY VALERY'EGO

„Każda myśl jest wyjątkiem z reguły, która polega na niemyśleniu". Tak mówi Paul Valéry, głęboki myśliciel, olśniewający pisarz, wytworny poeta ze szkoły Mallarme'go, a który w swej prozie i poezji stapia z przedziwnem mistrzostwem pierwiastki intelektualne i artystyczne w harmonijną całość, wywołującą dreszcz najwyższej rozkoszy estetycznej.

O czemkolwiek myśli i pisze Valéry, zawsze odskocznią dla niego jest sztuka, koło której grupują się jego zainteresowania bardzo obszerne i wielostronne.

W dziedzinę zagadnień z zakresu sztuki, jej stosunku do nauki i innych manifestacyj myślącej i czującej psyche ludzkiej wprowadzają czytelników Valéry'ego sławne już dziś w całym świecie, a mało znane u nas szkice i rozprawy, jak: „La Soirée avec M. Teste", Eupalinos", „Introduction á la méthode de Léonard de Vinci" i inne.

O ile mi wiadomo, żaden z tych utworów nie został przetłumaczony na polski — a wielka szkoda.

Wydane w zeszłym roku: „Regards sur le monde actuel" Valéry'ego ujawniły w nim, obok teoretyka i filozofa sztuki, obdarowanego wyjątkową ścisłością i logicznością, których stopień podnosi jeszcze jego wysoka kultura matematyczna, — także i obywatela Europy, gorąco przejętego sprawami jej przyszłości.

Poraz pierwszy Valéry zstępuje tutaj z wyżyn abstrakcyj na forum, wyciąga wnioski praktyczne z operowania kategorjami historycznemi i politycznemi, ustosunkowując się z wielkim krytycyzmem do powojennych poczynań i posunięć narodów europejskich.

Ostatnio wyszły — w ograniczonej ilości egzemplarzy — dwa zbiorki uwag i aforyzmów Valéry'ego,*) nacechowanych pasją dotarcia do jądra rzeczy w poznaniu człowieka, skali jego wrażliwości, rozległości jego myśli, jego możliwości w sferze abstrakcji i w sferze czynu, z odsunięciem na dalszy plan tak zawsze pasjonujących tego pisarza zagadnień sztuki.

Sądy Valéry'ego o człowieku wypadają naogół bardzo surowo, ale nigdy nie są ani gołosłowne, ani nacechowane bezpodstawnem okrucieństwem. Czasami graniczą nawet z banalnością, odgradzając się jednak od niej albo nowem oświetleniem truizmów, albo też niezwykłą precyzją lub świetnością formy, w jakiej zostają wypowiadane. Takiemi są np. jego aforyzmy o miłości i nienawiści, w których podkreśla znaczenie dla osobnika silnych reakcyj uczuciowych, bez względu na ich jakość.

Doskonale także została podpatrzona przez Valéry'ego pewna forma nienawiści, którą możnaby nazwać ochronną. „Nie jestem pewny, czy cię zwyciężę, czy cię ujarzmię, czy cię zniweczę: więc cię nienawidzę".

Valéry podkreśla pierwiastki iracjonalne, będące, według niego, samą istotą miłości. „Kocha się zawsze, powiada, tylko jakieś widmo. Nie można pragnąć tego, co jest rzeczywiste, *dlatego właśnie*, że jest rzeczywiste".

Sprzeczności logiczne, tkwiące w każdym osobniku ludzkim Valéry tłumaczy tem, że „człowiek jest nieskończenie więcej skomplikowany, aniżeli jego myśl".

Przytem niektórzy ludzie zatrzymują się już na pierwszych stadjach swojej myśli, tak że całe ich zasoby umysłowe składają się wyłącznie z zaczątków. Ten brak wytrwałości, a czasem brak odwagi w przemyśleniu do końca każdej sprawy, czyni człowieka— z jednej strony, nieodpornym na wszelkiego rodzaju pokusy, z drugiej zaś umożliwia mu bohaterskie cnoty, które nie ostałyby się wobec odpowiednich zastrzyków krytycyzmu i sceptycyzmu.

Przy całem swojem uznaniu dla intelektu i wysokich wymaganiach, jakie mu stawia Valéry zdaje sobie sprawę z bezsilności myśli wobec niejako fatalistycznego biegu wypadków. To swoje przeświadczenie obrazuje w takiej przypowiastce: „Pewien człowiek ciągnął losy przed powzięciem każdego postanowienia. Nie zdarzyło mu się jednak nic gorszego, aniżeli tym, którzy się nad wszystkiem namyślają".

Moralność, która, wedle dowcipnego Valéry'ego często polega na „robieniu sobie na złość", jest czemś, czego o wiele łatwiej wyrzec się czynem, niż słowem.

Sam autor, zajmując wobec różnych systemów etycznych, w szczególności zaś wobec chrześcijańskiego, stanowisko krytyczne, schyla głowę przed wewnętrznym nakazem moralnym, głosząc, że należy „czynić dobrze, jako człowiek, który mógłby czynić źle".

Aforyzmy Valéry'ego nabierają szczególnego blasku i rumieńców życia w świetle całej jego twórczości, na marginesie której zostały skreślone i z którą znakomicie harmonizują; ale i tych czytelników, którym jego utwory są obce lub mało znane, pobudzą napewno do złamania „reguły, polegającej na niemyśleniu" i przekonają, że myślenie w towarzystwie Valéry'ego i za jego sprawą staje się ponętną rozrywką, która z łatwością może się zamienić w... nałóg.

Stanisława Jarocińska - Malinowska

*) „Moralités" i „Choses tues". Wydawn. „Nouvelle Revue Française".

ZWIASTUNY NAWAŁNICY

Z PAMIĘTNIKA WIELKIEJ WOJNY

9.X. 1914. Wojna, odczuwana dotychczas na odległość, dziś naraz wychyliła się z lasów, otaczających naszą miejscowość.

Pierwszym zwiastunem zbliżania się armji niemieckiej był chłop z pobliskiej wsi, który przycwałował na oklep do urzędu gminnego. „Prusaki rżną bydło na Wólce", wrzasnął, wpadając zziajany do kancelarji. Pod wpływem tej wieści hiobowej wszyscy obecni stracili kontenans i zaniemówili; dopiero po dobrej chwili ktoś nerwowo odkrzyknął: „Siadaj na konia i wal do komendanta!"

Wraz z chłopem wypadliśmy na dwór, gdzie stało jeszcze kilka szkap, prócz hetki gońca wólczańskiego. Nim chłopina wgramolił się na swoją chabetę, — kilku młodszych i zwinniejszych wskoczyło na swoje konie i ruszyło z kopyta do miasteczka.

Po powrocie do domu — zastałem już wszystkich w gorączce. Ludzie zbierali manatki, pakowali się na duch, nie zważając wśród krzyku i klątw na głosy rozwagi i spokoju. Ludność, ogarnięta paniką, stanowiła już żywioł nie do okiełznania. Po południu popłoch wzmógł się jeszcze bardziej na widok taborów włościańskich, które ciągnąć już zaczęły szosą i t. zw. traktem królewskim, biegnącym pod borem, w którym kryć się miały liczne podjazdy niemieckie. Całe wsie w postaci długiego sznura wozów, naładowanych pościelą, babami i dziećmi, prosiętami lub drobiem, snopkiem słomy, wiązką siana, z krowiną w tyle przywiązaną do kłonicy, — stanowiły bolesny obraz rozbicia, potęgowany widmem spodziewanych spustoszeń, ruin i pogorzelisk.

10.X. Ranek sobotni stanowił dalszy ciąg obrazu wczorajszego popołudnia. Wzmógł się tylko ruch wozów z ludnością, przenoszącą się w okolice bezpieczniejsze. Grozę wyczuć nawet można było w bezładnej krzątaninie mieszkańców, pozostających na miejscu, którzy kręcili się w najwyższem podnieceniu; jedni czynili wrażenie nieprzytomnych, inni — spokojniejsi z pozoru, podobni byli do lunatyków o ruchach automatycznych. W stanie takim najniedorzeczniejsza wieść znajdowała posłuch nie tylko wśród naiwnych, lecz nawet u osób krytycznie rzeczy biorących i usiłujących panować nad otoczeniem. Rzeczywistość stawała się tak niezwykłą, że szła w zawody z rozgorączkowaną wyobraźnią i trzeba było wszystkich władz krytycznych i kilkugodzinnego chociażby doświadczenia, ażeby obrazów fantazji nie przyjmować za faktyczne.

Przykro dotknął mię widok ogromnych stad wron i kruków, ciągnących na południe. Widziałem w tem zapowiedź obfitego żeru. Jednocześnie dał się słyszeć warkot zbliżającego się aeroplanu, który po chwili zabłysnął w słońcu swym stalowym kadłubem na znacznej wysokości. Zawisł nad nami nieruchomo, czyniąc widocznie obserwacje nad lasami.

Samolot i stada wron zwiastowały niewątpliwie nadciągającą bitwę. Połączenie się złowrogiego ptactwa, kierowanego instynktem naturalnym, i samolotu kierowanego ręką nowoczesnego pilota, miało w sobie coś z symbolicznego spisku przyrody i nowożytnej techniki w celu unicestwienia człowieka.

Z nieprzepartą siłą nasuwała się analogja między stalowym ptakiem, dumą współczesnej ludzkości, a czarnym krukiem, odwiecznym nikczemnikiem, operującym na pobojowiskach. Wysiłki obydwóch zmierzają do jednego celu: wykrycia mięsa, jaknajwięcej ludzkiego mięsa! Analogja wypaść nawet musi na niekorzyść człowieka, kruk bowiem, omijając kruczą padlinę — szanuje majestat bratniej śmierci, — ma więc pewną przewagę moralną, ludzki samolot zaś wskazuje kierunek pociskom, ryjącym bratnie mogiły.

Zaiste, — aeroplan stał się jednym z motorów piekielnej żniwiarki śmierci.

10.X. Po południu wstrzymany został ruch pociągów. Zostaliśmy odcięci od Warszawy. Jednocześnie tłumnie zaczęły wracać chłopskie furmanki; okazało się, że na szosie zetknęły się już nieprzyjacielskie podjazdy w trzywiorstowej od nas odległości.

Naraz nieco dalej wśród sinej mgły, wiszącej nad lasami, coś strzeliło w górę, błysnęło, jak świecący karaś nad powierzchnią drzemiącego stawu. Rozległ się huk, zawisł gęsty biały obłoczek — to pierwszy szrapnel! I potem co chwila oko chwytało błyski, tak dziwne i tak niezwykłe w tem miejscu i o tej porze, jak błyskawice w grudniu. Padały gęsto gromy armatnie, a ich złowrogie echo grało wśród niezmierzonych borów chojnowskich, grzmot potem nieprzerwany szedł po okolicy, ujarzmiając i zmuszając do milczenia wszelkie inne objawy życia.

Jęczała ziemia wśród nawałnicy gniewu ludzkiego, a gniew ten był stokroć boleśniejszym, zdał się stokroć groźniejszym, niż gniew nieba w piorunach burzy letniej. Wraz z zapadaniem zmroku kanonada słabła, zrzadka tylko padały strzały armatnie, jakby ostrzeżenie, że nie tędy prowadzi droga bezpieczna; jakby zapewnienie, że artylerzyści czuwają z pociskiem w ręku.

Noc stawała się złowrogą. Widnokrąg czerwienił się od łun pożarów, okolica zaś zamarła bez dźwięku żadnego i ruchu. Nie wiedząc co jutro przyniesie, a pamiętając, że „tantum doluerunt, quantum doloribus se inseruerunt", — powróciłem do opustoszałego domu.

11.X. Echo niedalekiej kanonady bije o sklepienie mieszkań. W ciągu nocy pozycje najwidoczniej zmieniły się i przybliżyły znacznie. Nie jest to już jęk nieprzerwany i łoskot, lecz jakaś piekielna nawałnica dźwięków, jakieś zajadłe łomotanie furji.

Na podwórzu i w stajniach rozlokowali się kozacy. Kudłate konie parują, z zadowoleniem chrupią obrok, obojętne na toczącą się o parę staj bitwę.

Spodziewano się Niemców od strony chojnowskich borów i oficer w tym też kierunku czynił swoje obserwacje. Wyczekiwanie stawało się coraz bardziej denerwujące, godziny zaś upływały bez żadnych zmian i wyników. Przejmujący deszcz październikowy siąpał bez przerwy, siekł czasem, gdy mocniejszy wiatr pociągał od lasów. Wreszcie zziębnięci i przemoczeni weszliśmy z oficerem do mieszkania, ażeby się ogrzać i przegryźć coś nie coś. Był to poczciwy „piechotiniec", przytem nie zdradzający zbytniej wojowniczości, raczej robił wrażenie człowieka, który pod wewnętrznym przymusem wykonywał swoje rzemiosło wojenne. Nie skrywał zupełnie obaw co do wyników wojny, uznając wysoką wartość bojową Niemców, ich organizację i przewagę techniczną. Rozmowę przerwał ktoś naraz, wpadając

do pokoju z okrzykiem: „nieprzyjaciel idzie!" Zakręciliśmy się nerwowo po izbie. Oficer biegał naokoło stołu i po kątach, szukając to szabli swojej, to płaszcza i czapki, wreszcie zebrawszy wszystko, wypadł na dwór, skrzykując swoich żołnierzy. Robił wrażenie człowieka, który stracił kontenans wobec tego groźnego niewiadomego, co kryje się w borach.

Istotnie, na skraju lasu przejeżdżał stępa i gęsiego oddziałek niemieckich strzelców konnych, migając raz po raz wśród drzew. Żołnierze przykucnęli pod piwnicami, przyczaili się przy parkanach, czekając na zbliżenie się Niemców na odległość strzału. Jeźdźcy mignęli jeszcze raz nad lasem i zniknęli w gęstwinie. Porucznik, chcąc wykonać jakiś manewr, skrzyknął wszystkich żołnierzy, ściągnął warty, wyszeregował i ruszył steczką, biegnącą po burcie szosy wkierunku odwrotnym od lasów.

W dziesięć minut najwyżej po wyjściu piechoty rosyjskiej, tuż za parkanem ukazał się podjazd niemiecki, składający się z kilku strzelców konnych. Jechali stępa, gęsiego, rozglądając się bacznie na wszystkie strony; w ręku trzymali długie lance, z małą czarnobiałą chorągiewką na końcu. Karabiny, wpuszczone w pochwy, umocowane mieli przy siodłach z lewej strony. Lustrowali miejscowość przez kilka minut, później raptem skręcili w bok i równie nagle, jak się ukazali, — zniknęli. Była to niewątpliwie zapowiedź zbliżania się większych oddziałów wojska. Mieszkańcy, nieliczni jacy tu pozostali, — z niepokojem oczekiwali nadejścia żołnierzy niemieckich. Raz po raz ktoś wspinał się na płot wysoki, wysilając wzrok w kierunku lasów, ktoś znów odważniejszy wychylał się za węgieł budynków.

Wreszcie po godzinie może, wysypała się naraz piechota pruska, najwidoczniej zluzowana z pozycji. Budynki zaroiły się od szarych płaszczy i pikielhaub, obciągniętych ciemno-zielonem płótnem. Zarządziwszy oblężenie sklepików i piekarń, mieszczących się w budynkach fabrycznych, zaopatrywali się szybko w żywność, obojętnie i nieco z wysoka zachowując się wobec wystraszonej ludności. Przyznać trzeba, że zmuszając słownie zresztą do otwierania sklepów, zapowiadali, iż nie zamierzają rabować, lecz za wszystko co wezmą zapłacą, — co też następnie uczynili, stosując się do jakiegoś swojego cennika. Popasawszy nieco i posiliwszy się — ruszyli z powrotem w kierunku swoich pozycji.

Bitwa ku wieczorowi wzmogła się jeszcze bardziej, ale przesunęła się nieco na południo-wschód, ku brzegom Wisły, w kierunku Góry Kalwarji i Czerska. Pozycje niemieckie ciągną się jeszcze w tej chwili na linii lasów chojnowskich, rosyjskie zaś na linji wsi Podlecza i Moczydłowa, natomiast linją przecinającą, biegnącą prawie pośrodku jest szosa puławska.

Nie mogąc usiedzieć w podwórzu, wyszedłem znów na szosę za zabudowania stacyjne, skąd wyraźnie widać było przebieg bitwy. Gdzieś za wsią Kąty rozpalać się zaczyna ogromny pożar. Okolica cała o dobrym już zmierzchu rozwidnia się gwałtownie. Ogień jednak jest bardzo spokojny, pali się równo i leniwie, stanowiąc dziwne przeciwieństwo do złowrogiego, krwawego, dygocącego blasku nieba, na którem krzyżują się w tej chwili ostre promienie wrogich sobie reflektorów; po smugach światła tego, jakby po wyznaczonej linji, — przelatują z piekielnym wściekłym furkotem pociski, rozrywając się, jak rakiety.

Piekło — przypomniały mi się słowa Guyau — jest to straszydło, które się przeżyło, przeżyło się może jako narzędzie religji, ale w tej chwili, na tle rozpościerającej się, dymiącej, złowrogiem panoramy jakby się chciało objawić w całej swej potędze, siejąc w tym małym zakątku ziemi polskiej uczucie grozy niewypowiedzianej, prostaków zaś przejmując zabobonnym lękiem.

Po jakimś czasie odblask pożaru zaczyna jednak panować nad całą okolicą. Szosa, wioski, lasy i ludzie jakby zmaleli nagle w purpurze. Pomimo szalonej kanonady, która chwilami tak potężniała, iż zdawało się, że zdruzgocze ląd stały i pogrąży wszystko w odmętach ognia i żelaza, — odbierałem wrażenie zupełnej ciszy, gdy obejrzałem się za siebie lub cofnąłem się o kilkanaście kroków za węgieł budynków. Umysł, obciążony tysiącem wrażeń i obrazów w tem świetle przejmującej grozy stawał się skłonny do halucynacji, uplastyczniając sobie widoki krwawych losów ludzkości, tysięcy wojen, buntów, rzezi i rewolucji. Na widnokręgu tej dymiącej i dygocącej fatamorgany wyobraźnia chwytała obrazy miljonów niewinnie pomordowanych, umęczonych w różnych wiekach i różnymi sposoby. Pod płonącem niebem podnosiły się zwęglone ofiary Rzymu, pędziły przerażone cienie nocy św. Bartłomieja, rzezi ukraińskiej, rzezi galicyjskiej, pogromów żydowskich, — owe wiecznie krwawiące widma, kłam zadające co czas jakiś duchowej i uczuciowej kulturze ludzkości, nieśmiertelne mary, unoszące się i nad tem tu pobojowiskiem, jako nieustanny, niewygasający, wzmacniający dowód ciągłości przemocy i tyranji dziejowej.

Linja boju zataczać zaczęła widocznie półkole, odsuwając stopniowo Rosjan ku samym brzegom Wisły i zajmując lewem skrzydłem z północy Górę-Kalwarję. Bitwa na tak zwanem pastwisku wólczańskiem była szczególnie uporczywa i zacięta; Rosjanie naciskani bili się jak lwy, chwilami zdawało się, że ogień karabinów ręcznych zbliża się w naszym kierunku, co świadczyłoby o cofaniu się Niemców. Żołnierze niemieccy w kilka godzin potem sami opowiadali, że napór Rosjan był tak silny, iż wydano rozkaz cofnięcia się, ale z nieznanych bliżej powodów ogień rosyjski nagle osłabł, co przyśpieszyło gwałtowne posunięcie się naprzód Niemców pod samą Górę - Kalwarję, a następnie pod okopy, okalające Czersk i ruiny zamku Ks. Mazowieckich. Łuny pożarów stopniowo około północy zaczęły przygasać. Kanonada ucichła niemal zupełnie, tylko zrzadka w odstępach parominutowych rozlegały się strzały karabinowe i rzadziej jeszcze pojedyńcze strzały armatnie.

Naraz po północy, t. j. dn. 14.X. zerwał się nowy huragan ognia artyleryjskiego i karabinowego, ale po jakimś czasie raptownie ustał i zapanowała niczem niezamącona cisza. Coś stanowczego widocznie nastąpiło. Próbowaliśmy zasięgnąć języka, ale kursowały najsprzeczniejsze wieści, jedna, że Niemcy zostali odparci i cofnęli się pośpiesznie do lasów, zbliżając się w naszą stronę, — to znów, że rozpaczliwym wysiłkiem po ustaniu ognia zdobyli Czersk atakiem na bagnety. Rano okazało się rzeczywiście, iż Niemcy, korzystając z ciemności podsunęli się pod same okopy i nagłym szturmem, po krótkiej walce zajęli pozycje rosyjskie.

Henryk Lukrec

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Ciekawy objaw życia politycznego można obserwować teraz w Niemczech. Rząd gen. Schleichera po paru miesiącach spokojnego bytowania chwieje się. Niektórzy nawet sądzą, że dni jego są policzone.

Chwiejność ta i nietrwałość wynika tym razem bynajmniej nie ze wzmożonej walki politycznej, nie z konfliktu z parlamentem, czy wzrostu fali opozycyjnej w klasie robotniczej.

Nie. Gen. Scheicher ugina się pod ciężarem intryg politycznych, tajnych rozmów mężów zaufania prezydenta Hindenburga, całej kuchni regime'u tak zwanego prezydjalnego. Jeżeli legnie gabinet „socjalnego generała", to nie dlatego że nie spełnił swojej jedynej zapowiedzi „znalezienia pracy dla bezrobotnych" i nie dlatego, że przez brak kompetencji kazał masło domieszać do margaryny, drażniąc wszystkie gospodynie niemieckie, ale dlatego, że wymierzono przeciw niemu tę samą broń intrygi politycznej w ciasnem kółku, którą on z powodzeniem stosował.

Ukazała się świeżo na rynku księgarskim niemieckim książka publicystyczna pp. Caro i Oehme p. t. „Schleichers Aufstieg" (Wzniesienie się Schleichera), która tę atmosferę doskonale charakteryzuje.

Polityka niemiecka po nagłem obaleniu Brüninga miała być prowadzona, jak piszą wspomniani publicyści, w duchu „umiarkowanego faszyzmu", w kierunku reakcji konserwatywnej. Przyszedł huczny i buńczuczny von Papen i podążył odrazu do świątyń faszyzmu. Przeciągnął strunę. Zjawił się Schleicher. Nie przestały jednak grać roli czynniki, sprężyny i atmosfera, w której działał on przedtem za kulisami.

— Intryga zakulisowa — czytamy we wspomnianej książce — rozwinęła się, jak jaskrawy kwiat. Dlaczego? Bo wola wielu (demokracja) ustąpiła miejsca nie woli jednego (dyktatura), lecz woli niewielu, t. j. woli kliki reakcyjnych przemysłowców, politycznych awanturników i t. p.

Gen. Schleicher — pogromca kanclerzów — sam jest osaczony. Przy demokracji i parlamentaryzmie wszystkie wysiłki zmierzają do przekonania narodu, obecnie wielka energja poświęca się na „obrabianie prezydenta".

Oto spostrzeżenia publicystów niemieckich bynajmniej nie lewicowców, lecz tylko obserwatorów.

Régime, który miał władzę uczynić bardziej prestiżową, wzmocnić jej autorytet, osłabił ją do reszty i losy jej z forum uwagi i kontroli publicznej przeniósł na kuchenne schody mieszkań paru zręcznych intrygantów.

Tak wygląda rząd niemiecki w chwili, kiedy stan gospodarczy ludności Rzeszy wymaga od władzy napięcia całej energji moralnej i materjalnej dla walki z kryzysem.

Nic też dziwnego, że niespodzianie dla wielu wyrosła czarna chorągiew po wsiach niemieckich, gdzie budzi się ruch radykalny zrozpaczonej masy włościańskiej. Ruch ten, który hitlerowcy usiłują skierować w swoje łożysko, przypomina w swoich nastrojach i napięciu słynną wojnę chłopską w Niemczech.

Gdy takie budzą się w Niemczech prądy, kanclerz, który początkowo miał na ustach wciąż walkę z bezrobociem, coraz częściej pobrzękuje szabelką: milicja, powszechna służba wojskowa, mają zastąpić masie chleb, pracę, ziemię, których im brak. Generał von Schleicher na ten temat teraz deklamuje, budząc odpowiednią reakcję w innych krajach. Niepowodzenia w polityce wewnętrznej najłatwiej zamazuje się, oczywiście tylko chwilowo, krzykliwością nazewnątrz i szczękiem broni.

***

Lewica hiszpańska w ostatnich czasach uczyniła bardzo ważny krok w swojej działalności, utworzono w kortezach federację grup lewicowych. Połączyły się w niej 4 frakcje, liczące razem 140 deputowanych. Do Federacji lewicy należą — partja Radykalno-Socjalna, Federacja republikańska prowincji Galicji, Grupa republikańska „Action"; partja Katalońska (t. zw. Esquerra) pułk. Macia.

Do Federacji należy i obecny premjer p. Azana, który na zebraniu inauguracyjnem m. i. oświadczył:

— Od początku kortezów grupy tworzące dziś Federację wycisnęły przez poparcie udzielane rządowi piętno polityki lewicowej na aktach gabinetu, któmu przewodniczę. Sądzę, że jedynem słusznem ujęciem zadań republiki proklamowanej przez pokojową rewolucję 1931 r., jest wykonywanie polityki lewicowej i stosowanie bez odchyleń programu reform społecznych.

Wkrótce po dokonaniu tej koncentracji wybuchły znane rozruchy anarchistyczno - monarchistyczne w Hiszpanji, z których młody ustrój republikański wyszedł obronną ręką.

***

Po raz pierwszy we Francji rząd p. Paul Boncour'a przed zastosowaniem utartym już zwyczajem obniżek płac pracowniczych uznał za stosowne wejść w kontakt z Generalną Konfederacją Pracy (C. G. T.). Gdy usłyszał od delegatów kolejarzy, pocztowców i tysięcy innych, że nie dopuszczają możliwości dalszego równoważenia budżetu wyłącznie kosztem płac pracowniczych, rząd Boncour - Chéron cofnął się z zajętego stanowiska.

Projekt budżetu i oszczędności zrewidowano i znaleziono... zgórą 600 miljonów franków do obcięcia w budżecie armji i floty.

Na prawicy francuskiej jest z tego powodu wielka wrzawa. *St. Gr.*



ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Stanisławowi L. we Włocławku. Skoro sam sąd przedstawił wniosek o ułaskawienie, to znaczy, że były ku temu poważne racje.

Pani Magdalenie W. w Radomiu. Nie do druku. Niewiadomo, o co właściwie chodzi.

Panu Edwardowi K. w Skierniewicach. Zdaje nam się, że czasy tego rodzaju wierszyków lirycznych, przesłodkich, przecukrzonych, już minęły. Naturalnie, słowiki śpiewają, jak dawniej, ale o tym śpiewie pisze się inaczej. Tak samo o wschodzie i zachodzie słońca, o kwiatach, o gwiazdach, o miłości...

Panu Zygmuntowi S. w Sochaczewie. Niesprawiedliwy atak. To tylko jakieś osobiste rozgoryczenie. Nie jest prawdą, jakoby na prowincji panował tylko „marazm, zastój, zaduch i plotkarstwo". Dużo pięknych, twórczych, szlachetnych rzeczy dzieje się na tej, tak wyszydzanej, prowincji. Możeby Pan w tej „przeklętej dziurze" stanął do jakiejś porządnej roboty społecznej. Pola pracy tam nie brak. I są tam również ludzie wysoce wartościowi.

Pani Janinie Z. w Przemyślu. Dziękujemy za życzenia. Niema obawy, żebyśmy się „ugięli". I „klątwa kompromisu" nam nie grozi.

Panu Janowi R. we Lwowie. Weźmiemy pod uwagę.

Panu Stefanowi L. w Katowicach. Przeczyta Pan w najbliższym n-rze „Epoki". Rzecz prosta, że takich rzeczy przemilczać nie należy.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Wacław Berent: Pisma. Próchno. Tom I i II. Gebethner i Wolff. Warszawa 1933.

Aleksander Alfred Konar: My i dzieci. Powieść. F. Hoesick. Warszawa 1933.

Jan Orski: W sidłach miłości Tow. Wydawnicze „Rój". Warszawa 1933.

Stefan Napierski: Obrazy z podróży. Dom Książki Polskiej. Warszawa 1933.

Karol Irzykowski: Benjaminek. Rzecz o Boyu-Żeleńskim. F. Hoesick. Warszawa 1933.

Maurycy Urstein: Przestępczość a psychoza. Studjum psychologiczno - prawnicze o katatonji. Wydawnictwo Współczesne. Skład Główny w księgarni F. Hoesicka. Warszawa 1933.

Dr. Michał Bielek. Skarbowość Rzeszy niemieckiej. Administracja skarbowa. Gospodarka budżetowa. F. Hoesick Warszawa 1933.

Nowe Państwo. Zeszyt 3 (7). Pismo poświęcone zagadnieniom życia państwowego i międzynarodowego. Pod redakcją prof. Wacława Makowskiego. Wydawn. Polskiego T-wa Prawa Państwowego w Warszawie.

NIEZWYKŁY SUKCES GILZ POLSKICH W TURCJI.

Niedawno Państwowy Monopol Tytoniowy w Turcji zwrócił się do wynalazcy Tytoniówek w sprawie nabywania ich dla swoich wyrobów. Jak wiadomo, Tytoniówki wyrabiane są z włóknami liści tytoniowych i w ten sposób niezwykle uszlachetniają smak papierosów, zwłaszcza, że obecnie jako surowca używa się do ich wyrobu najszlachetniejszych gatunków tytoniu. Zainteresowanie Turcji tym epokowym polskim wynalazkiem jest bardzo znamienne, gdyż Turcja ogólnie uchodzi, jako klasyczny kraj palaczy.

TREŚĆ NUMERU.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z. 51 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 5.